

Lidia Wiśniewska

Podwójna tożsamość bohaterów „Mostu Królowej Jadwigi”

Zawsze zapewne istniały dwa rodzaje literatury: ta, która kieruje uwagę ku hierarchii, porządkującej byty od duchowych na szczycie po materialne na dole (lub dnie, jeśli kto woli) oraz dającej przewagę śmierci nad życiem (a dokładniej mówiąc: temu, co po śmierci, czyli nieśmiertelności) i ta, która mówi o współistnieniu materialnego dołu i duchowej góry, o wzajemnym wynikaniu śmierci z życia, a życia ze śmierci i o kołowym nawrocie wszystkiego jako swego rodzaju wieczności.

Dwa wspomniane na początku rodzaje literatury, to, oczywiście, także dwa rodzaje filozofii, dwa rodzaje mitów, dwa rodzaje paradygmatów organizujących wiedzę o świecie. Za literaturą kierującą myśl ku hierarchii stoją takiego rodzaju mity jak chrześcijański, czy (w wersji zdesakralizowanej paradygmatu) nowoczesny – wedle terminologii Eliadego.¹ Stoją też za nią takiego typu filozofie jak idealizm, szczególnie platoński, z jego uznaniem idei za prawdziwy byt i potraktowaniem świata materialnego jako mało wartego jej cienia. Bachtin² zaś mówiłby w takim przypadku o światobrazie oficjalnym, którego cechą jest monologiczność (odzwierciedlająca dominację duchowości). Absolutyzacja jednego głosu zawarowana zostaje sankcją boską, a i świecki władca przedstawiany jest jako „pomazaniec Boży”. Taki głos należał w historii do instytucji Kościoła, stojącego na straży *sacrum* lub do rycerstwa, co prawda desakralizującego święte zdarzenia, ale zarazem przejmującego ich wzorzec (*casus* rycerzy Okrągłego Stołu). A potem tradycję przejęli spadkobiercy rycerstwa: szlachta, arystokracja – jeśli rzecz ująć socjologicznie. Wreszcie zaś – dodajmy – po „wysadzonej z siodła” polskiej szlachcie jej ideały dziedziczy inteligencja. Z drugiej strony wedle przywoływanego tu Bachtina istnieje jednak też kultura mająca odmienne korzenie – mówi on o kulturze ludowej (jeśli ująć rzecz znowu z punktu widzenia socjologicznego) i, jak ją nazywa, karnawałowej (jako że w opisywanym przez niego

średniowieczu czy renesansie dochodzi do głosu szczególnie w okresach świąt, zresztą nad wyraz rozbudowanych, obejmujących czasem kilka miesięcy w roku). W tekstach literackich jej znamieniem staje się dialogiczność – wywodzona tak z filozoficznych dialogów sokratejskich, jak z satyry menippejskiej. Eliade z kolei powiedziałaby, że u podstaw tego modelu tkwi mit archaiczny, a w zdesakralizowanej wersji paradygmatycznej – filozofia przedplatońska, szczególnie greckich filozofów przyrody.

A jak wobec tych modeli usytuować świat przedstawiony *Mostu Królowej Jadwigi*,³ w którym paradygmat chrześcijański i jego zdesakralizowane pogłosy sąsiadują z czysto pogańskim kultem brzucha i zepchnięciem w cień ideałów? Jak przedstawić taki utwór, który pisany jest – jak to ujmuje sam narrator – z „żabiej perspektywy” (II, 108)? Nie jest to perspektywa Baudelaire’owskiego albatrosa, który ściągnięty na ziemię potyka się o własne skrzydła ani perspektywa robaka, który nigdy nie wyjdzie ponad poziom ziemi... Perspektywa narratora *Mostu*... oznacza specyficzny stan pośredni: żaba dobrze radzi sobie poniżej poziomu ziemi, w wodzie; potrafi poruszać się też po ziemi, a „w porywach” potrafi niemal fruwać w powietrzu, naśladując ptaka – co prawda raczej tragicomicznie. Podobnie tytułowy most jest sygnałem przejścia „między” dwoma brzegami. Pamiętamy podobne przejście jako szczególny symbol swego rodzaju indywidualistycznego heroizmu – tam jednak mówi się z namaszczaniem o moście lub linie: „Człowiek jest liną rozpiętą między zwierzęciem a nadczłowiekiem – liną nad przepaścią”.⁴ Most Sulimy zaś to most realny, przez który przechodzą wojska z zachodu na wschód lub odwrotnie, i którym ojciec przechodzi po wojnie, żeby wymusić prestiżową pracę urzędnika państwowego w „magistracie”. Most łączy tu i dzieli po prostu interesy zbiorowości i interesy indywidualne. Zamiast nadczłowieczeństwa czy tragicznej wielkości występuje tu, jak słusznie ujmie to Sulima w swym wstępie, „dramatyczna małość” (II, 6). A jej nośnikiem będzie nie tyle indywidualność – ta dopiero się wyłania wraz z dorastaniem narratora – ile raczej grupa: mieszczaństwo. A dokładniej – drobnomieszczaństwo. Tak więc już na początku zarówno tytuł, jak i narrator zmuszają nas do zauważenia charakterystycznego w tym utworze zawieszenia „między” – w wymiarze pionowym i poziomym.

W *Moście Królowej Jadwigi* reprezentujący kulturowy model hierarchiczny przedwojenny arystokrata pojawia się doprawdy incydentalnie: przypadkowe spotkanie z nim w pociągu zapłodni jednak na całe życie wyobraźnię ciotki Moniki. W pamięci tej jego obraz pozbawiony zostaje realizmu. Prawda histo-

ryczna dochodzi kiedyś do głosu w czyimś przypomnieniu mało chlubnego faktu, że rodzina Poniatyckich brała udział w Targowicy, a czasem obraz ten zostanie w komentarzach karnawałowo zdegradowany i hrabia Poniatycki (w związku z aluzją, że spotkanie owo mogło się zakończyć hotelowym erotyzmem) kojarzyć się będzie z „Łapzaczycki” (w trybie *parodia* prawie *sacra* duchowa góra społeczna zostanie sprowadzona do cielesnego dołu). Ale raczej w sposób niemal baśniowy wyidealizowany hrabia ów nie wsiada na konia inaczej niż w złotych ostrogach. Poza tym po II wojnie pojawiają się dość masowo „wędrowni hrabiowie”: zostali oni wyrzuci z swoich majątków na Wschodzie i teraz hrabianki uczą się w szkole rolniczej, by znaleźć dla siebie miejsce. Niżej – choć wystarczająco wysoko, by stanowić przedmiot pożądania lub podziwu – stają werkmistrz i panny Banieckie o wielkomieszczańskich ambicjach, właściciele posesji i przedsiębiorstw, tacy jak mityczny prawie (jakoby mason) Apelt, ludzki Niemiec, z tych, co to już wymierają, czy bogatsi sąsiedzi: Radzikowscy lub nowi właściciele Melechowie (tym ostatnim ojciec narratora ma do zarzucenia brak pańskości i tradycji, a i oni podlegają degradacji po wojnie: Melechowi odebrana zostaje kamienica; przymusowo wstąpić on musi do zrzeszenia właścicieli, zaczyna się upadek domu). Wreszcie pojawiają się inteligenci – jak mecenas Kątski. Obserwujemy go przed wojną, jak udziela „posłuchania” ojcowi narratora u fryzjera; nie przyjmuje go jednak w domu. Pojawi się natomiast w mieszkaniu narratora w momencie, gdy jego pozycja społeczna legnie już w gruzach na skutek wojny. Tej degradacji podlega wtedy także reprezentujący hierarchię kościelną ksiądz Godek, mieszkający w czasie wojny u rodziców narratora: występuje on jednak wtedy nie tylko pozbawiony glorii swej godności kościelnej, ale nawet znaku przynależności do Kościoła – sutanny. Wojna zdaje się w ogóle odgrywać w powieści rolę swoistego tragicznego karnawału (czy też: antykarnawału) zaburzającego lub niszczącego hierarchie, najpierw narodowe, a potem społeczne.

Również reprezentacja przeciwnego paradygmatu – ludowa – jest tu dość ograniczona. Stanowią ją Kujawowie – dozorczy i sprzątacze w domu, gdzie mieszka rodzina narratora. Język Kujawy mocno wskazuje na wiejskie pochodzenie. Ale to jego syn-harcercz zginie we wrześniu 1939 r. i ojciec długo będzie nad tym bolał. Dopełni obraz przeciwieństwem mieszkający pod schodami ojciec-pijak, znęcający się na swą córką. Dopełni go też Jadźka, z trudem wypchnięta do miasta z zapyziałej wsi: i to ona najlepiej uzmysławia wszystkim, że człowiek składa się z dwu, w jej przypadku doskonale autonomicznych czę-

ści: duszy i ciała; gdy bowiem jej ciało bez problemu trawi kaczkę przeznaczoną na obiad dla „państwa”, to jej duszę, oczywiście, zżera wstyd, każący wręcz mówić o samobójstwie z powodu dokonanego „przestępstwa”. Dziewczyna jednak mocno kocha życie, jak słusznie zauważa narrator, nie trzeba tej groźby brać poważnie. Ci ludzie, hierarchicznie niżsi (sprzątacze, służący) stanowią przed wojną „hołotę”. Wojna jednak i tu zmienia sytuację, niweluje dystans i przyjaciel narratora będzie zabiegał o dziewczynę spod schodów, a Kujawa nie będzie już wstydliwie wchodził po wodę do domu bohatera.

Rodziny narratora natomiast nie można umieścić ani na samym dole, ani na samej górze hierarchii i jednoznacznie powiązać z którymkolwiek ze wspomnianych paradygmatów. Usytuować ją trzeba, oczywiście, „pomiędzy”, oczywiście, „pośrodku”. I, oczywiście, nie tylko jeśli chodzi o portret społeczny czy narodowy, ale i o mentalny czy psychologiczny (świadomość, emocje, instynkty, ambicje).

W powieści Sulimy-Kamińskiego sytuacja zyskuje wymiar niemal modelowy: rodzina bohatera ma podwójne, a może nawet podwójnie podwójne korzenie (uzupełnione jeszcze poniekąd przez naddatek „trzecich Dziadków”). Korzenie te są tworzone przez znamienne pary. Składają się na nie (od strony ojca narratora) dziadek Polonus i śmiejąca się ciągle babka Rzechotka oraz (od strony matki) Dziaduś Ażurowy z Babusią jak Dzwon. Mężczyźni w tych parach grają wyraźne role: Polonus – narodową (Polak), Ażurowy – zawodową (kupiec). Kobiety natomiast wyrażają się poprzez biologiczność, jak Rzechotka z jej mową ciała, tj. śmiechem (czasami pobudzanie do niego przybiera postać makabry: symulowania odkręcania sobie palców) lub przez podświadomość (Babcia jak Dzwon) wyzwalaną z okowów nakazów i zakazów dzięki likierowi z czekoladowych cukierków wyciąganemu lekarską strzykawką. Tak więc postacie te na pierwszy rzut oka wydają się zarysowywać jako jasno określone realistyczne typy wespół tworzące swoistą pełnię możliwości charakterologicznych i nie tylko. Gdyby nie to, że typowość ta podszyta zostaje dwoistością.

Co do Polonusa – dwoistość ta ujawnia się nawet w jego fizycznej charakterystyce. Po szlachecku podkręca on węża i trzyma się prosto, ale jak wieśniak ma brzuszek (bowiem „Wszystko, co grube jest szacowne, dostatnie i godne poważania” – I, 32); w każdym razie ujawniają się tu wartości ludzi mocno związanych z naturą. Więcej: jest puciołowaty i krwisty. Polonus mieszka przy ulicy (*nomen omen*) Rycerskiej, w zamkniętej skrzyni przechowuje szlachecki strój i ponoć dokumenty szlacheckiej przeszłości, ukryte – co znowu znamien-

ne – między okładkami jadłospisu z restauracji Pod Orłem, tak jakby stanowiły one coś w rodzaju eleganckiego *menu*. Czci on Napoleona, czego namacalnym znakiem będzie – znowu kłania się użytkowość – filiżanka z przedstawieniem cesarza na koniu. A w święta narodowe Polonus (tu pada znamienne słowo) „przebiera się” w symboliczną czamarę (przypomnijmy: okrycie modne w XVII w., a potem – szczególnie w okresie reformatorskiego Sejmu Czteroletniego z jego Konstytucją 3 Maja). W młodości (to znowu szczególne określenie) „otarł się boczkiem” o Powstanie Wielkopolskie (I, 39), a potem prowadzi nieustający i bezowocny proces o odzyskanie jakichś starych majątków (Wichorze, Cepno i Wabcz, i jeszcze jedna wieś, której nazwy się nie pamięta) zabranych rodzinie za absurdalny zamach pradziadka na króla pruskiego Fryderyka IV. Zamach ten dziadek ocenia dwojako – jako chwałę i nędzę jednocześnie: bo co to za „puddlarz chybiający z pistoletu na odległość dwóch końskich ogonów” (I, 123). On sam jednak, wbrew tej emanującej z niego sile (nawet Niemcy uchylają czapkę przed „szlachciurą”), popełnia jeszcze przed wojną niezrozumiałe, absurdatne (można by powiedzieć po Camusowsku: dlatego, że słońce zaświeciło mu w oczy) – podobnie jak ongiś dziwaczny był czyn przodka – samobójstwo. Jeśli nie umrze od razu, to przecież pozostaje tylko żywym trupem, siedzącym na swojej skrzyni ze szlacheckimi skarbami, na tym rodzinnym relikwiarzu (II, 126). Potem tę rolę kury wysiadującej przeterminowane ambicje przejmie ciotka Monika. „Przeterminowane ambicje” – bo ich realizacja w mrzonkowym programie politycznym Polonusa wymagałaby restauracji monarchii, a doraźny projekt reform zawiera postulat: „Szlachta musi mieć specjalne dodatki” (I, 35). Rzeczywisty, infantylny podtekst tych marzeń szlacheckich (czy pseudoszlacheckich) zdaje się wyrażać dziecięcy narrator: szlacheckość to prawo do bezprawia, co prawda dokonywanego w ukryciu (I, 34) i przywileje. Szlacheckość w tej postaci to nie obowiązek wobec społeczeństwa, ale obowiązek społeczeństwa wobec szlachty. Dodajmy: domniemanej szlachty.

Choć Dziadek celebrytuje swoją nadmuchaną pańskość, wykonuje wielkopańskie, teatralne gesty i komentuje: „(...) co za drobnomieszczkański, upadły dom, kupieckie jakieś nawyki, ta pogoń za tanim detalem, ten skandaliczny brak gestu, sklepikarska mentalność dusigrosza” (I, 122), to babka zna także mentalność swego męża: nie jest ona inna od skrytykowanej („sknera jest” – I, 122). Wnuk wtedy zrozumie, że król jest nagi i krzyknie do dziadka: „Ty fornalu!”. Babka potwierdzi: „Ten mały... on jeden ma prawdę. Chłop jesteś! Chłop od starodawna, żaden hrabia Łapzaczycki!” (I, 122). „Ostatni wielki Polak w naszej rodzi-

nie” – jak go widzi syn (II, 232) zostanie ostatecznie zdemaskowany przez wnuka jako „Jan, hrabia z Imaginacji” (II, 231). Polonus okaże się uzurpatorem: w mitycznej skrzyni nie ma dokumentów. Dziadek zatem całe życie w istocie „przebierał się” i grał nie siebie. Stworzył fałszywą tożsamość nie tylko indywidualną, ale i rodzinną, opartą na infantylnej próbie bycia kimś więcej, niż się jest – nie poprzez fakty, ale poprzez pozory. Dodajmy, że gra pozorów kierowała się ku przeszłości, nie przyszłości. „Mieszczanin szlachcicem” już dawno doczekał się swojej karykatury u Moliera. Ale ten mieszczanin nie jest nawet śmieszny: jest po prostu mały w swym dążeniu do tak pojętej wielkości.

Domowi dziadków od strony matki zdaje się w pamięci wnuka patronować nocnik i portret Piusa XI (I, 14). Ten szczególny melanz trywialnej cielesności i zinstytucjonalizowanej religijności dopełniony zostaje faktem, że sklep Dziadka Ażurowego – bądź co bądź kolonialny, tedy posiadający towary egzotyczne, przywiezione z daleka – mieści się poniżej poziomu ulicy. Szerokość, a jednocześnie niskość, a nawet pewna podziemność tak zakreślonej przestrzeni i perspektywy wydaje się znamienna.

Budząca respekt postura Polonusa może stanowić kontrast dla postury Dziadka Ażurowego. Ten drugi sprawia (niemal po Schulzowsku) wrażenie zjawiska ulotnego i niezziemskiego, nadającego się tylko do oglądania i adoracji (poczwaraka w kokonie, zimne ognie spojrzeń, fosforyczne światło brody...). W drobnym kupcu widać pono dystynkcję... płynącą z dawnej kupiecko-mleczarskiej tradycji. Ale choć jest Polakiem, a jedynie jego pierwsza żona była Niemką (co nie zmienia faktu, że wychowywała dzieci po katolicku, czyli po polsku, jak to się określa jednym tchem), to nie pała sympatią dla Polski: w jej początkach stracił prawie cały majątek z powodu dewaluacji. Od tego czasu musi myśleć, czy właściciel domu „popuści” komorne (I, 39). Ożenił się z kobietą spod Wągrowca i kiedy się zapomina, wymykają się mu słowa o brudnych, jedzących z jednej miski i śpiących w kupie Polkach. Nie przeszkadza mu to poklepywać służącą Bronię i oglądać ją w kąpieli. Wnuk tłumaczy: „On był polskim Pomorzakiem, byłym poddanym pruskim. Bardzo lubił pruski porządek i nie cierpiał tej Polski, co za Piłsudskiego tak nagle wybuchła” (III, 186). W czasie wojny jako pierwszy w rodzinie podpisze volkslistę, i to „niebieską” kartę. Dla wielu staje się od tego momentu duchowo umarły: na przykład dla własnego syna, warszawiaka już, Pawła. Po wojnie, po zapłombowaniu sklepu, sprzedaje na rynku swoje budynie jak uliczny kramarz. Nie sprzedane zanoszą ukrytemu Niemcowi, jednemu z tych, co nie zdążyli na ostatni pociąg. Natomiast wuj Jerzy opowiada często o swoim

zbeszczeszczeniu w czasie I wojny pickelhauby i Żelaznego Krzyża: Dziadzio Ażurowy wtedy beczką masła przekupił władze i uwolnił go od sądu wojennego. W tym sensie dziadek się nie zmienia: ratuje konkretnego człowieka. Ale po wojnie, potępiony przez wszystkich, bezradny i zdzieciniały (II, 78) umiera, a po nim i jego żona tak, że rodzina nic o tym nie wie. I Bronia znika także z horyzontu razem ze swym jednonogim sierżantem, który w czasie defilady przepchał się z jakąś swoją petycją do dwunogiego marszałka (III, 178).

Historia Dziadka Ażurowego jako historia podwójnej tożsamości narodowej wynikłej z niemożności wyzbycia się urazy do Polski, która pozbawiła go dobrobytu i z kultywowaniem sentymentu do Prus jako ostoi porządku i stabilności materialnej pokazuje, że pieniądź jest dla Dziadka Ażurowego po prostu bardziej podstawową „ojczyzną” niż wspólnota krwi.

To drzewo rodzinne o podwójnych (i poczwórnych) korzeniach wydaje na dwu swoich konarach owoce nader zróżnicowane. Z konara „narodowego” (czy „szlacheckiego”) – co, niestety, trzeba ująć w cudzysłów lub wprowadzić przedrostek „pseudo-” – pozorującego nobilitującą trwałość, która sięga głęboko w przeszłość, a z drugiej strony (jeśli chodzi o przyszłość) jakby nagle skróconego poprzez samobójczy zamach Dziadka Polonusa – wyrastają owoce: pisarka – ciotka Monika, muzyk – wuj Janek i ojciec narratora – „policjant wodny, tajny i porządkowy”. Rola społeczna każdego z nich musi być jednak obdarzona, niestety, tym samym co pseudoszlachecki korzeń przedrostkiem lub cudzysłowem.

Ciotka Monika żyje w sferze marzeń o miłości rodem nawet nie z *Trędowatej* (bo właściwie nie chce być „taką” Stefcia Rudecką, która to nie wiadomo skąd się wzięła – por. II, 232) lecz raczej z – sentymentalnej szmiry gazetowej w odcinkach, gdzie pełno rozpoznań nisko urodzonych jako szlachetnie urodzonych i towarzyszy temu powszechny *happy end* („Wszystko wszystkim ułoży się dobrze, zapanuje ogólna zgoda i harmonia” – I, 87, a brat Janek się nawróci na porządne życie, jak przewiduje). O tym rozpoznaniu, jeśli nie księżniczki w żebracze, to szlachcianki w wyrobnicze pilników – zamierza napisać powieść *Olśniona w pociągu*, ciągle jednak coś jej (jakoby) przeszkadza. W istocie zadanie jest z góry skazane na niepowodzenie, ponieważ ono samo stanowi rodzaj fałszywego, zastępczego życia w urojonym, jednolicie dobrym świecie. Z tej nieprzystawalności swojego świata do życia zdaje sobie ona sprawę: w życiu można dzielić naród na „naszych” i „antków” – w sztuce nie! W każdym razie będzie pisać, by ratować kulturę polską – to „jej nakazuje patriotyzm i pradawność nasza” (II, 78). Jej pisanie ma mieć, jak widać, wymiar heroiczny.

Dopełnieniem niebiańskiego urojenia miłosnego stanie się w cioci Monice urojenie ciężącego na niej pseudoromantycznego przekleństwa wynikającego z winy za los brata Janka, który opuścił dom bez swoich skrzypiec, zarekwirowanych przez nią, by go zatrzymać. Odpowiedzialna jest więc za hańbę rodziny, spowodowaną dalszym okropnym życiem niedoszłego wielkiego artysty. Romantyczny mesjanizm w wydaniu kieszonkowym każe jej niczym Chrystusowi próbować zbawić swój ród, biorąc na siebie jego winy czy klątwę. Ostatecznie może być Emilią Plater swojej rodziny. Jeśli zaś nie Emilią Plater, to „żywą torpedą” w czasie wojny! Ale broń Boże sanitariuszką: jest na to zbyt niewinna! (Wiemy, że w którymś momencie odwiedził ją Feliks, „niedoszły” jej wybraniec. Niestety, nie dojdzie i dalej do niczego). W końcu Monika realizuje swoje marzenia o doniosłej roli społecznej jako... przodownica pracy socjalistycznej (III, 168). Emilia Plater socjalizmu zostaje brygadzystą i nie skarży się na brak pieniędzy. Jak srebrna tabakierka jednak nie daje się zamienić na puderniczkę w jej rękach, bo puder się wysypuje, tak nie daje się zamienić bez reperkusji Emilii Plater na Stachanówkę i jej sukcesom w tej mierze towarzyszy podbite oko (czego ojciec nie radzi jej zgłaszać na policję) oraz klamka wysmarowana odchodami...

Trzecie urojenie, będące zapewne pochodną poprzednich, wiąże się z groźeniem samobójstwem: może to rodzaj wentyla bezpieczeństwa w tym życiu tak natrętnie trywialnym (praca przy nacinaniu pilników) i nie pasującym do wygórowanych marzeń o byciu romantyczną kochanką, szlachcianką, wrażliwą artystką („Ciocia Monika jest spragniona wszystkiego, co delikatne, aksamitne, przemijające” – por. I, 186), bohaterką narodową. To dzięki tym marzeniom „Wstaje z klęczek silna, odmłodzona. (...) Z jej męskiej, kanciastej figury bije krzepa i wyzywająca żywotność” (I, 40). Dziadek, z pewnością czujący, że córka jest jego najwierniejszym odbiciem, wini Boga: „Ona jedna ma ambicję. Mocna jest. Pan Bóg się pomylił, kieckę jej dał zamiast portek” (I, 121). Jej masywny krok szyldwacha podbudowuje taką diagnozę. Ale tylko dziecko potrafi uwierzyć, że ta siła przeobrazi się w coś realnego. Groźba samobójstwa zaś na szczęście wyczerpuje się w nadużywanie leków, domaganiu się pistoletu, wreszcie noża, a zamiar utopienia się powstrzymany zostanie brakiem odpowiedniej bielizny niezbędnie potrzebnej, w jej mniemaniu, topielcowi: teatralny gest obliczony miałby być przeciw na podziw publiczności. A zatem znowu ujawnia się brak autentyczności i wynikające stąd rozdwojenie między realną ciocią, jaka jest a graną przez nią rolą.

Wuj Janek z kolei, jak ciągle podkreśla siostra, znający perfekcyjnie francuski (ten język arystokracji!) i zapewne perfekcyjnie potrafiący grać na skrzypcach (jak w dobrej rodzinie) porusza się gdzieś na marginesach, grywa w podrzędnych lokalach (gdzie „same blirwy i alfonksy” – I, 134) i zagląda czasem do krewnych brudny, odarty i głodny. Dziadek przynosi wiadomość, że otał się o więzienie: oszust i złodziej, „nygus i ochlapus” (I, 117), robi długi. Kiedyś matka narratora zdybała go zbierającego pieniądze do podejrzonej puszkę (I, 138). Tuż przed wojną ujawnia i on swoje marzenia oraz aspiracje: zmobilizowany pojawia się na ulicy w swoim najlepszym ubraniu, bo ma nadzieję, że ze swoją znajomością francuskiego przyda się gdzieś w sztabie. Właśnie – przyda się w sztabie, a nie jako zwykły żołnierz – i podobny w tym jest do swej siostry, która nie chce być zwykłą sanitariuszką, ale – niezwykłą – „żywą torpedą”. Niezwykłość ta jednak musi pozostać w sferze fikcji.

Dalszy krewny, Piotr, doczeka się od matki określenie „hołota”, choć jak twierdzi ojciec, to dobry człowiek, tyle że bolszewik: w 1917 r. był na Wschodzie i choć wróciwszy z Legionami śpiewał „Boże, coś Polskę”, to potem znów przeczucił się ku dawnym zwichrowaniom. Wyrzucony z pracy za kolportowanie „bibuły” znajdzie jakąś pomoc w rodzinie, i to mimo że „niedowiarek”. Wpada też do rodziny, gdy umiera matka narratora: zachowuje się jednak wtedy, jak tropione zwierzę i ojciec reaguje nerwowo (choć daje mu pieniądze i jakieś zawiniątko). Wieść, że inny Piotr, Kotłęga, „czerwony garbarz” zmarł w Stutthofie na atak serca (sic!) każe myśleć o „naszym Piotrze”. Acz znamienne, że w kontekście refleksji: „Nic ludzkiego w tych twardzielach” (II, 134). Po wojnie wuj Piotr robi karierę jako działacz komunistyczny w Komitecie Miejskim (III, 151): ojciec narratora pyta go, czy Polska będzie szesnastą republiką. W jakiś czas po referendum wyborczym spada na beton z tarasu syn wuja Piotra, który widzi w tym rękę przeciwników politycznych. W 1953 r. przewiduje Jerzy, że Piotr pójdzie w odставку. Na kondolencje po śmierci Stalina wujek reaguje ostro. Ale potem spotkamy go jeszcze kajającego się za zbrodnie stalinowskie. Jego podwójna tożsamość to tożsamość legionisty i komunisty. Polityka każe mu wybierać między wartościami narodowymi a klasowymi, ale żaden wybór nie przynosi zadowolenia.

Obok konaru wywodzącego się z zakorzenienia, jakie stwarza dziadek narratora od strony matki – zwanej czasami „Martchen” – pojawia się inna odrośl, ciotka: żona brata dziadka, wdowa, ciotka Hulda. Z nią matka przed wojną po niemiecku prowadzi pertraktacje związane z zapłatą za pranie. W czasie woj-

ny praczka zamienia się w bogaczkę: lakierki, srebrny lis, kapelusz z kogucim piórem. Mieszka z synem z Hamburga w willi na Bielawkach, pali w piecu hebrajskimi książkami. Już nie będzie prała. Zostawia jednak krewnym 20 marek, bo nie chce pierścionka: złota już ma dość, ludzie znoszą je Maksowi, sprzedają, by wyżyć lub przeżyć. Jej bogactwo wyrasta więc z biedy cudzej, krzywdy i przemocy. Ale nawet pokonani, Niemcy będą mogli je wywieźć, o ile dotrą do domu. W każdym razie to przynależność narodowa zmienia status społeczny.

Z tej gałęzi rodowego drzewa, która symbolizuje tożsamość nie tyle narodową co religijną, a może bardziej wyznaniową, obok matki narratora wywodziłaby się jej siostra, Hejtka. Jak wiemy, obie córki matka, choć protestantka (i Niemka) wychowała – jednym tchem mówiąc – „po polsku, po katolicku” (M, 49). Ale nie wygląda na zbyt zgodne z zasadami katolickimi, że ciotkę nader często odwiedza niejaki Kurt Knaabe (uprawiający dla wielu niecny proceder wypychania zwierząt) przyczyniając tym wiele zgryzoty jej mężowi. W Hejtce obok chrześcijańskiej miłości bliźniego tkwi wyraźnie żyłka kupiecka: po śmierci siostry zabiera do siebie dzieci, ale domaga się w zamian jej futra, bo kocha rodzinę, ale – jak to określa – musi coś z tego mieć. Zarazem niewinne, ale w przeddzień wojny także niewczesne odśpiewanie obok polskich kilku niemieckich piosenek (których w czasie zaborów nauczyła niemiecka szkoła – I, 154), spowodowane większą ilością alkoholu i dobrym humorem, wywołuje coś w rodzaju skandalu „politycznego”: kolejarska rodzina zostaje zatem poniekąd karnie zesłana na prowincję. Zamieszka tam, cóż za przypadek, u niemieckiego piekarza. Wuj Poszwa tam uchodzi za Niemca, a daje chleb Żydom, zauważając zaś, że w wojennej biedzie rodzina je niemieckie bułki, jednocześnie dla równowagi (albowiem „w sobie” Polakiem jest) podsuwa Jerzemu duchową strawę polską, każąc czytać *Ogniem i mieczem* (II, 98).

Podobnie jak wuj Piotr w uprzednio przedstawionej gałęzi, tak w tej wuj Paweł jest odstępca. Tamten jednak zaliczany był do „hołoty”, ten natomiast zajeżdża z Warszawy do rodziny jako „lepszy gość”. Niemniej Monika powie, że w tej rodzinie „zbacza z kursu” (I, 138). Wcześniej nie stanowiło dla niego atrakcji solidne miejsce na kolei w Pruszczu-Bagienicy. W Warszawie w zamian jeździ 100 km na godz. lukstorpedą i dużo zarabia. Lisia czapka, pelisa z bobrowym kołnierzem, lakierki – wszystko to budzi podziw, choć mimo wszystko też podejrzenie, że ten „lofer i hulaka” żyje ponad stan. Jednak to on kupi siostrze jedyne jej futro – choć czyni to w ramach pewnego przekupstwa

i zadośćuczynienia zarazem. Wie też, jak uprzejmie kwiatkami ułagodzić panią Batko. Matka w każdym razie ciągle boi się o moralność swego męża, którego Paweł może „wciągnąć” w coś złego (przypadkiem wypadająca z portfela fotografia trzech prześlicznych pań bez majtek świadczy o niemoralnym trybie życia gościa). Posażna Frieda Glonke z Nowej Wsi Wielkiej nie stanowi dla niego pokusy; zamierza ożenić się z Polką – z miasta i wykształconą; ożeni się jednak z „kacapką” o nazwisku Peretiatko, budząc w rodzinie zgrozę. Nie może wybaczyć ojcu, że „zapisał się na Niemca, skoro jego syn walczył w Warszawie, w polskim mundurze” (II, 91). Zginie zaś w Powstaniu Warszawskim.

Obaj odstępcy nie żyją – jak realizatorzy „prawidłowego” kursu – życiem zastępczym w mitomańskich wizjach, lecz wprowadzają swoje mity w czyn. Pierwszego rewolucyjne mity społeczne przed wojną wpędzają w nędzę, ale realizowane po zmianie ustroju prowadzą do klęski moralnej (i do tragedii rodzinnej, gdy traci syna). Drugiego mit sukcesu materialnego i przyjemnego życia wciąga w życie bujne, trochę pijackie, trochę rozwiązłe, stonowane jednak w momencie poznania przyszej żony. A w momencie próby historycznej on jeden z tej rodziny walczy jako żołnierz: tak we wrześniu, jak pod koniec wojny w Powstaniu – i ginie, ponosząc klęskę fizyczną, lecz nie moralną. Znamienne, że wujowie noszą apostołskie imiona, w obu przypadkach przywołujące na pamięć przemianę i przejście: od prześladowcy Szawła do kaznodziei Pawła, od Piotra jako zapierającego się ucznia do opoki chrześcijaństwa. Noszą je jednak i odwracają zarazem ich sens: Piotr to raczej komunistyczna opoka, która w końcu zapiera się, składa samokrytykę; Paweł to najpierw raczej mający gest i kochający życie grzesznik okupujący swe „winy” złożeniem życia „na ołtarzu narodowym”.

Narrator w szczególny sposób dziedziczy schedę po obu wujach-odstępcach: z jednej strony przejmując mierzący czas zegarek po Pawle, symbolicznie włącza się w rzeczywistość historyczną głębszą niż tylko rodzinna, w polskość w szerokim rozumieniu, choć zarazem raczej antysowiecką – jak antysowieckie w pewnym sensie było Powstanie Warszawskie; z drugiej strony w zakończeniu trzeciego tomu narrator solidaryzuje się „z kimś takim” (III, 300) jak Piotr, bo to jest jego „wuja” (nie „wuj”), który odważnie złożywszy samokrytykę stał się znowu osobą prywatną (i odtąd wszystko już będzie bardzo dobrze: w tej ocenie jednak dźwięczy idylliczność rodem z niedosłej książki ciotki Moniki). W ten sposób, dziedzicząc dwie przeciwstawne zupełnie propozycje życia, narrator znowu wchodzi w podwójność – choć tak powstaje raczej jakaś synteza wartości,

a nie podwójność rzeczywistości i złudzenia, jaką żyje reszta rodziny. Ale obok tego dziedziczy też schedę i po realizatorach owego rodzinnie prawowiernego „kursu”, dość chwiejnego kursu życia innego w słowach, innego w czynach, innego wewnątrz, innego na zewnątrz, jaki właściwy jest opisanym wcześniej członkom rodziny – a kumuluje się w matce i ojcu.

Matki nie sposób opisywać bez odwołania do mitu nowoczesnego (w sensie Eliadowskim), tzn. chrześcijaństwa. Dokładniej jednak: bez odwołania do katolicyzmu. Najbardziej znamienne wydaje się pokazanie jej przez narratorkę dziecko w specyficznym naśladowaniu Chrystusa: jako uginającej się pod ciężarem krzyża-stołu przesuwanego przez nią na własnych barkach podczas wielkich, trzydniowych porządków (i obrządków) związanych z praniem i kąpaniem. Ale, oczywiście, zastąpienie krzyża meblem mimowolnie parodiuje wzorzec: matka tak męczy się nie w imię królestwa Bożego, ale mieszczańskiego porządku materii.

Skrajną, a przez to także karykaturalną formę, przyjmuje jej stosunek do ciała, a dokładniej – do erotyzmu (stąd pojawiający się wobec niej zarzut chłodu). Kobieta, która urodziła dzieci, boi się nawet spojrzenia skierowanego z fotografii na nagość własną czy „gołą sromotę” ojca (II, 48) w łazience (gdzie po wielu perypetiach zawędrowało zdjęcie pierwszej żony, nawiasem mówiąc opisanej tylko jednym zdaniem: że żądała zbyt dużo jako żona od męża, który był katolikiem). Dziecko w jej mniemaniu nie powinno też słyszeć rozmowy o porodzie, widzieć, jak ludzie się całują i nie powinno oglądać słonia, który ma „piątą nogę”; nie powinno spoglądać na rzeźbę Łuczniczki, której właściwie należałoby sporządzić żelazne majtki (II, 60). Matka gani nawet syna, że taki duży, a „nic” się nie wstydzi rozbierać do kąpieli (według niej wszystkie dzieci powinny się kąpać – znowu ten *leitmotiv* – w specjalnych majtkach); nawet rzeźba *Potopu* wydaje się z powodu przedstawiania nagości podejrzana, ratuje ją tylko to, że pokazuje sceny biblijne. Piękne kobiety na fotografii z portfela wuja Pawła staną się wręcz kamieniem obrazy i powodem gorących modłów za grzesznika. A skoro nie ma, niestety, romansów bez miłości, matka wymoże na Monice, żeby w jej książce „wszystko działo się po ślubie” (I, 86). I oby tam nie znalazło się coś niestosownego... O miłości należy mówić przez kwiatek: wpierw ślub. Obsesja zakazanej, wyklętej, gorszącej cielesności determinuje ukrywanie realnego istnienia sfery współżycia pod zupełnie zresztą przykrótką zasłoną niedomówień i przemilczeń. Tak więc z jednej strony w postępowaniu matki dom staje się miejscem niezamierzonej, oczywiście, pa-

rodii sakralnych gestów przyjmujących postać podporządkowania się materialności życia, z drugiej zaś ukrywanie cielesności prowadzi do równie niezamierzonej, ale swoistej sakralizacji ciała, którego nazwa niemal nie powinna się pojawiać na ustach prawowiernego katolika – niczym niewymawialne imię straszego Boga. W sposób niekwestionowany realizowana lub wręcz w tym domu kultywowana w czynach (np. jedzenie po to, by mieć gruby brzuch – symbol dostatku) materialność i cielesność domaga się zarazem ukrywania w słowach. Te dwie sfery stają niezbieżne.

Religijność matki opiera się na chodzeniu do kościoła. Jej wiara jednak przeniknięta zostaje niechrześcijańskimi zgoła przesadami, jak posypywanie wrzątku solą, żeby Żydzi drugi raz nie ukrzyżowali Chrystusa (I, 113). To z nich rodzą się zapewne makabryczne opowieści, że Żydzi przyrządzają macę używając do niej krwi chrześcijańskich dzieci. Niektóre jej dobroczynne, choć niekoniecznie zupełnie spontaniczne gesty, na przykład pomoc udzielona Piotrowi, mogą mieć uzasadnienie chrześcijańskie, bardziej chyba jednak macierzyńskie: to raczej los dzieci ją zmiękcza niż los bliźniego w ogóle. Zatem i między zewnętrznymi gestami a wewnętrznymi odczuciami pojawia się rozdźwięk.

Rozdźwięk pojawia się też między zachowaniami prywatnymi i publicznymi: nie wchodzi w grę możliwość uderzenia dziecka przy ludziach, na widoku, i ojciec w tym przypadku usłyszy obelgę: „ty fernalu” (I, 26). Choć nic nie przeszkadza w przetrzepaniu dziecku skóry w domu.

Wreszcie rozdźwięk pojawia się w ocenie podobnych zachowań będących udziałem cudzym i własnym. Matka na przykład targuje się o to, ile ma zapłacić ciotce Hejtce i z bólem serca daje jej żadaną sumę. Ale gdy ojciec zamierza napisać do Rothschilda (sic!) o zapomogę, matka się przeciwstawia: „Górowała nad ojcem godnością i racjami, zdominowała go arystokratyczną postawą, ona, mleczarska córka. Tego eks-eks-szlachetkę z ziemiańskimi uzurpacjami. Szlagońskiego syna, półchłopka i półmieszczucha! Da mu matka lekcję ambicji, nauczy, jak należy się szanować” (I, 70).

Postać matki okazuje się więc niejako dwuwarstwowa: jedna warstwa jest ascetycznie duchowa, bezgrzeszna, z ducha Chrystusowa, kulturalna, druga jest materialna, przeniknięta biologicznością, wywodzi się z ducha natury i, zwerbalizowana, czasem zaskakuje prymitywizmem. Ale pierwsza jest jawna, ekspozowana, pokazywana, druga jest (lub powinna być) ukryta, wstydliwie przemilczana, nieobecna (szczególnie przy innych). W pewnym sensie pierwsza jest fikcyjna, druga rzeczywista, ale pierwsza jest lepsza, druga gorsza. Dlate-

go pierwsza istnieje jako zewnętrzna, druga jako wewnętrzna. Wynika to być może z tego, że matka nie widzi różnicy ontologicznej między rzeczywistością a fikcją: by nie powtarzać już kwestii spojrzenia z fotografii, przypomnijmy, że o wprowadzeniu „Jerzusia” do powieści ciotki Moniki mówi tak, jakby to miała być rzeczywistość sama (syn ma tam być ministrantem, a nie grać z księżniczkami w serso) i odwrotnie – w rzeźbach potopu paradoksalnie widzi nie przesłanie biblijne (kara boska), ale wręcz cynicznie-życiowe: wszyscy tam chcą żyć, a nie ma miejsca dla wszystkich.

W przypadku ojca również możemy mówić o takiej dwoistej konstytucji, choć nie dokładnie takiej samej.

Ojciec-policjant zostaje właściwie wyrzucony z pracy dyscyplinarnie, w rezultacie jednak na nader korzystnych warunkach finansowych (zważywszy zarzut pijaństwa i arogancji wobec przełożonego) przechodzi na przedwczesną emeryturę. Wiemy, że lubi poklepać także inne kobiety niż żona. Ale Monika ocenia Bolesia: „Muchy nie skrzywdzi, choć krzepę ma. Na baby nie patrzy, piwa, wódki nie pije” (I,137). Obraz ojca zawarty w jej słowach zostaje jednak nieco wyidealizowany w porównaniu z faktami.

Po II wojnie ojciec żyje złudzeniem, że „Reforma rolna zrobi dla nas wyjątek” (III, 23). Czy wierzy w szlacheckie pochodzenie? Skoro dziadek zapewniał... a wiedział o tym od nie byle kogo, bo od proboszcza w Małym Czystem, gdzie znajdowały się dokumenty rodziny, które Prusacy zakazali pokazywać. Nowe warunki polityczne jeszcze bardziej ośmieszają ambicje domniemanego ordynata, który nie może się połapać: „Właścicielom odbierają domy, hrabiom majątki, a fabrykantom fabryki. Wszystko nasze, mówi się, a w kieszeni dno (...) Na byłą policję patrzy się jak na hyclów. Partyzantów wsadzają do więzienia, a hadziaje wałą ze wschodu na zachód” (II, 126). Ojciec dostaje emeryturę ze starego portfela, ale wierzy w przejściowość sytuacji (II, 124). Nie doczeka jednak tego przed śmiercią.

Ambicje intelektualne ojca-czytelnika zaspokajają zszywki gazetowych powieści w odcinkach. Dopiero pod koniec wojny praca w roli człowieka odpowiedzialnego za ostrzeganie przeciwnicze – w ciepłym i suchym pomieszczeniu – sprawi, że ojciec będzie miał dużo czasu na rozmyślenia; dopiero teraz, jak stwierdzi, zrozumie swoje życie (II, 223). Chciałby nawet napisać o tym, czego w życiu dokonał. Jego ambicje twórcze w tej sferze pozostaną jednak niezrealizowane, podobnie jak ciotki Moniki.

Jego filozofia życiowa jeszcze przed wojną streszcza się w zdaniu: „W tych niepewnych czasach jedynie pomoc boska i pieniądze są coś warte, żadne tam

ideały. Z ideałów zupy nie nagotujesz, a każdy jeść musi” (I, 73). Mimo to zaznacza w dydaktycznym przesłaniu przeznaczonym dla syna, że nawet jeśli głód zmusza do wielu zachowań, „(...) kraść i żebrać nie pozwalam” (II, 27). Zarazem gdy sam podpisze volkslistę (więc dokona czynu nieetycznego), stwierdzi: „Każdy postępuje wedle nie sumienia, ale własnego strachu” (II, 280). W ten sposób potwierdza większą łatwość deklaracji niż realizacji ideałów i większą wagę przetrwania fizycznego niż utrzymania przekonań. Sumienie (siła wewnętrzna) okazuje się czymś niezmiernie słabym wobec siły przekonywania tkwiącej w rzeczywistości (sile zewnętrznej). Niemniej ojciec stara się utrzymać przynajmniej jedną zasadę (wyznaną także przez Dziadka Ażurowego): nic złego nikomu nie zrobić. W czasie wojny ratuje z zagrożenia (rozstrzelaniem zapewne) Bogu ducha winnego starego Niemca Nitza. A po wojnie czasami udaje się mu jako urzędnikowi nie znaleźć akt osoby poszukiwanej przez UB (co może przychodzi mu tym łatwiej, że naczelnik jest też przedwojenny).

Ojciec, w opozycji do matki zdającej się strażniczką wartości duchowych czy religijnych, przede wszystkim stoi na straży dobrobytu materialnego. Jeszcze przed wojną strzeże „Tego dobrego przeciętnego poziomu sytości”, jaki osiągnął (I, 67) mając zapewniony regularny napływ renty co miesiąc. Syn widzi go skrupulatnie liczącego pieniądze po niemiecku: tak nauczyła go szkoła. Handluje się jednak o każdy grosz (np. bilety do cyrku), ale, jak twierdzi, nie jest sknerą, tylko szanuje pieniądze. Kiedy jednak nowy właściciel domu obniża komorne – ojciec wpada w popłoch: to dlań gest niezrozumiały, nieprawdopodobny! Bierze kiełbasianą zupę, bo darmowa, złom wafłowy, bo tani, a kryje miłe niespodzianki. Może to ojciec odpowiedzialny jest za oszczędzanie wody w czasie kąpieli rodzinnej, kiedy to w jednej myją się dziecko, matka i ojciec, choć ostatecznie: „Woda nie powinna być zbyt gęsta ze względów higienicznych” (I, 113). Bierze on dodatkową pracę dezynfektora telefonów. Nic nie widzi dziwnego w fakcie, że jako były policjant pomaga panu Rouge w dokonaniu przestępstwa dewizowego (niestety, zupełnie niefortunnie: nie tylko że pan Rouge nie zyskuje, to jeszcze rodzina ojca traci). Gra w totolotka, a od żebraków się uczy sprawdzania prawdziwości pieniędzy (i jako żebraka postrzega go matka, gdy ten zamierza napisać do Rothschilda o zapomogę na chesne syna). Jego marzeniem byłaby praca przy kasie. Ale ostatecznie postanawia zwrócić się do mecenasa Kątskiego o pomoc w dostaniu posady w magistracie. Po wojnie także pierwsze jego kroki (stawia je „śmiesznie męski” – III, 10) wiodą do

magistratu po posadę – gasi go warunek: nie dostanie jej Volksdeutsch. Ciągle jednak kuszą go magistrackie splendory. Kiedy wreszcie je uzyska (a z nimi honor i poważanie), uznaje, że „wyrównał się do takiego – mówmy – Alfonsa Kujawy”, bo „Przez kraj toczy się wielka wyrówniarka” (III, 135).

W czasie I wojny „Bolek” jako marynarz na torpedowcu otrzymał Żelazny Krzyż Zasługi II klasy – niezbyt wysokie odznaczenie jak za uratowanie keizerowi okrętu (tak to sam przedstawia), a raz cisnął przez pomyłkę butem w drugiego oficera (po czasie maluje to jako czyn nieledwie bohaterski, w każdym razie świadczący o niezależności poglądów). Ale we wrześniu 1939 r. jako główny portier do specjalnych poruczeń, czyli po prostu tajniak, z pewnością nie wystrzelił ani jednego naboju (pięć dziesięciostrzałowych walterów zamkniętych w pancernym sejfie świadczyć będzie o jego powściągliwości w tej mierze). Jeszcze w czasach Zaolzia zresztą pada uwaga syna, że ojciec „nie ma w sobie nic z Wilhelma Zdobywcy” (I, 128) – i chętnie by zatrzymał polskich żołnierzy idących na podbój świata. Zatrzymuje w każdym razie krewkich rodaków w mundurach, gdy chcą zabrać Nitza. A i stary Nitz wyrывa go z kolei „w ostatniej chwili” (II, 46) z zagrożenia. Ojciec wróci do domu niczym lunatyk: jakby umarł i narodził się na nowo, jakby wszedł w ogień, może czyścicowy, bo poprzednio nagrzeszył i wyłonił się jakby z drugiej strony lustra – na plecach cały siny i zielony, w marynarce pobrudzonej wapnem, z krzyżem na plecach... A zatem otarł się o śmierć. Potem z kolei z pękniętym żebrem wraca z kolejki do Arbeitsamtu z kartą wyjazdu na wykopki. Pod koniec wojny Powalisz wypomina mu, że boi się, jakby to nie Niemcy przegrywali wojnę, ale ojca prześladuje myśl, że jeszcze przed końcem „oni” mogą „zrobić swoje” (II, 132).

Dla ojca Dziadek Ażurowy po podpisaniu volkslisty przestanie istnieć, ale sam wkrótce stanie przed takim samym problemem. Jeszcze podczas dyskusji mieszkającego u niego księdza z mecenasem deklaruje, że nie chciałby być jak lis, co zmienia barwę (II, 145). Ale to teoria. Jeszcze się złości, że syn odwiedził dziadków (żyjących po swojej decyzji o przyjęciu narodowości niemieckiej II kategorii i „niebieskiej karty” jak na bezludnej wyspie). A wkrótce potem słyszymy jego słowa świadczące o świadomości podpisania paktu z diabłem: „Złożyłem cyrograf” (II, 169). Złożył, bo znikąd nie uzyskał odpowiedzi na swoje wątpliwości, nawet Bóg ich nie zechciał rozwiązać i podjąć za niego decyzji. Podjął ją więc diabeł, bo przecież nie ojciec. Usprawiedliwia się: „nie wystąpił z narodu dobrowolnie, tylko pod śmiertelnym przymusem” (III, 114). Nie jest to do końca przekonujące. Z drugiej strony teraz będzie się musiał bać tzw. „prawdziwych patriotów”

przysyłających anonimy z groźbami. Teraz także wyzwolenia ojciec oczekuje i boi się jednocześnie, bo postąpił źle i dobrze (II, 282). Mimo to uważa, że wszystko jedno, jaka ta Polska będzie, byle była. Kiedy już w istocie „będzie”, kilka razy nawiedzają go patrole wojskowe, ale przetrzymuje pierwszy napór – wierzy, że nie może tyle narodu (Volksdeutschów) pozostać poza nawiasem, a szczególnie, że nie można zrezygnować z tak cennego urzędnika państwowego jak on. Po jakimś czasie rzeczywiście sytuacja się wyjaśnia. Chociaż ojciec zauważa: „Urządowo to oni nam odpuścili. Ale czy człowiek sam sobie może odpuścić? A przecież sami Niemcy nazywali to nasze byrgrowanie „kolossaler Schwindel” (III, 190).

W inny sposób niż matka, ale i ojciec prezentuje podwójność zewnętrżności i wewnętrzności. W przeciwieństwie do matki, uzewnętrżniającej duchowość i modlitwę, ojciec deklaruje jednak zainteresowanie materialnością i liczeniem pieniędzy. Paradoksalnie zatem te gałęzie drzewa rodowego reprezentują coś innego niż korzenie (idealistyczna matka przeciwstawia się poniekąd nader merkantylnemu Dziadkowi-kupcowi, a jej mąż-materialista pozornemu zresztą idealście, a naprawdę falsyfikatorowi, Dziadkowi-Polonusowi). A jednak w konsekwencji oboje dopełniają się jako rozdwojone tożsamości – tylko że rozdwojone odwrotnie. U matki fikcja funkcjonująca na powierzchni ma pokazywać coś lepszego niż rzeczywistość spychana do wstydlivych podziemi wnętrza. Ojciec zdaje się mówić, że człowiek jest na powierzchni właśnie gorszy niż w środku, co paradoksalnie tchnie dla niego optymizmem. Powiedzieć by mógł o sobie niemal: „plwajmy na tę skorupę i zstąpmy do głębi” – w ten sposób anektując romantyzm do potrzeb materialisty.

Ojciec wyraźnie zarysowuje przeciwieństwo tego, kim człowiek (szczególnie on sam) jest w swym postępowaniu, czyli obiektywnie, a kim jest *de facto*, czyli w istocie subiektywnie. Subiektywnie właśnie zawsze jest się lepszym, niż wskazują na to obiektywnie obserwowane wybory i zachowania. *De facto* jest się na przykład szlachcicem, a nie urzędnikiem państwowym na emeryturze (to zresztą najpierw Dziadek Polonus uświadamiał, „kim *de facto* jesteście” – por. II, 232). Przyjmując obywatelstwo niemieckie III kategorii i status niemieckiego obywatela „do odwołania” ojciec więc powiada: „W środku będziemy tacy sami, jak przedtem. Jedynie na zewnątrz może to jakoś dziwnie wyglądać” (II, 168). W przypiływie szaleńczej odwagi – gdy ma odprowadzić zmarłe dziecko na cmentarz – powiada: „Niech widzą hitlery, że umiemy jeszcze umierać normalnie” (II, 90), ale zaraz zaleca iść pojedynczo, niby na spacer (więc żyć nie bardzo umie „normalnie”). Bowiemi: „Kto ma pianino, niech gra po nie-

miecku na pianinie. Kto nie ma, niech zwodzi Niemców, czym tylko może. Najważniejsze swoje myśleć, nikomu nie szkodzić” (II, 118). Oczywiście ojciec dostrzega podobne do swoich zachowanie i u innych (można tu przypomnieć Władycha-Waltera Bathke czy Swaki-Babę w warsztatach rysującego czołgi niemieckie, a w domu dorysowującego szarżujących na nie polskich ułanów), więc komentuje: „Wszyscy teraz przypominają kogoś, kim nie są. Każdy jest kimś innym, niż był kiedyś, niż jest naprawdę. Ale to do czasu. Niech tylko wojna się skończy, znowu wrócimy do formy i każdy będzie taki, jakim go Pan Bóg stworzył” (II, 80). Opisując swoją degradację społeczną i materialną, mówi o Kujawie: „On dziad i my teraz dziady. (...) Co nam szkodzi poudawać, że wszystko w porządku” (II, 82). Swoją degradację uznaje zawsze za przejściową (przejściowo nie jest szlachcicem, Polakiem, urzędnikiem państwowym). Aczkolwiek w tej sytuacji przejściowej upomina: „Synu! Tak wynosisz się nad innych? (...) Przed wojną to tak, to byliśmy z tej lepszej sorty. (...) Niedługo i ty będziesz śmierdział jak tamci” (II, 120). Ale – niech tylko wojna się skończy... Jego widzenie świata nastawione jest na czasowość, na zmianę sytuacji. Zmiana zaś wymaga dostosowania, oczywiście tylko zewnętrznego, więc powierzchownego, bo wewnątrz nic się nie zmienia, wewnątrz jest ostoją stabilności. Jest miejscem, gdzie się chroni jako lepsza część człowieka tożsamość dana od Boga i widziana w pełni (*de facto*) jedynie przez jej posiadacza.

Tak więc – zreasumujmy – z korzeni pseudoszlacheckich Polonusa rodzi się wierna kontynuacja w postaci Moniki przekuwającej jednak ostatecznie swe szlacheckie, bohaterskie i romansowe mrzonki w realność pozycji przodowniczką pracy socjalistycznej i brygadzystki, czyli swoistej arystokratki klasy robotniczej (gdy jej *alter ego*, Janek, ze swoimi artystycznymi i językowymi zdolnościami zaprzepaszcza się gdzieś w czasie wojny) – i niewierne zaprzeczenie w postaci wuja Piotra, komunisty w kapitalizmie, skruszonego po zebraniu gorzkich owoców w socjalizmie. Tu sytuuje się także do końca wierzący, że jest kimś innym *de facto* niż jest w swoich czynach – ojciec narratora. Z korzeni kupieckich i pseudoniemieckich wyrasta ciotka Hulda, która opuści Polskę ze swym synem z Hamburga, deklarując się jednoznacznie jako bogata Niemka, nie praczka, i rodzi się Hejtka, która chce coś „mieć” z miłości rodzinnej, a także wuj Paweł, wyłamujący się z przeciętności (poczynając od zamiany zwykłego pociągu na lukstorpędę) i ginący za ideały narodowe. Tu także mieści się matka, realizująca ideał chrześcijański w dźwiganiu krzyża mieszczańskich mebli i stwarzająca fikcję życia pozbawionego cielesności.

Z tego tygla wreszcie przeciwstawnych losów i rozdwojonych tożsamości wyłania się owoc: syn (i zarazem osoba organizująca opowiadanie jako narrator). Instruktywne może być przyjrzenie się projektowaniu jego losów przez rodzinę. Jego matka widzi w nim najpierw ministranta, broń Boże, harcerza (bo się zaziębi), a potem przyszłego kleryka. Ojciec pragnie go najpierw posłać do lepszej szkoły, więc liczy na zrobienie zeń człowieka wykształconego. Polonus, mając na myśli utopijne majątki, gorzelnie i młyny, radzi uczyć dziesięcioletniego chłopca fechtunku i strzelania z dubeltówki, a nie łaciny. Ciotka Monika chciałaby widzieć w nim muzycznego dziedzica-artystę. Wujek Poszwa widzi go jednak na kolei. Domniemany poeta i marzyciel, Dziaduś Ażurowy, który nie powinien powiedzieć nic trywialnego, pyta: „A jaki macie kapitał?” (I, 190), ale tak naprawdę woli postawić na charakter, który sam wypłynie, co wygodnie zwalnia od inwestowania w przyszłość delikwenta. Zamysły dorosłych zatem co do jego przyszłości oscylują między kompletną mrzonką a nader konkretnym zawodem, między chęcią wykształcenia go a pozostawieniem samemu sobie.

Narrator od początku uczy się podwójności różnego rodzaju. Jego dziecięce marzenie o szlachectwie streszcza się w znamienym zdaniu zakładającym dwulicowość: „I bym mógł mieć jedną żonę, jak Pan Bóg przykazał, a z innymi na knebel żyć, wszystko jedno. Każdy by udawał, że o niczym nie wie, jeszcze bym order dostał”. To ta podwójność, która podpowiada, że na zewnątrz trzeba wydawać się lepszym niż w istocie.

Na wsi, w Henrykowie, chłopiec należy do tych „lepszych”, a dzieci przezywają go „dziedzicem” i „hrabią” (II, 94). Macocha też zjadliwie mu „dziedzicuje”, toteż przekornie podczas rodzinnej kolacji bywa „na pokaz wytworny” (II, 188). W polskiej szkole w czasie wojny zachowuje się jednak zbyt pańsko spoglądając na „hołotę”. Ojciec uzmysławia mu, że sam wkrótce może będzie do tej hołoty należał. Po podpisaniu volkslisty zostaje przeniesiony do lepszej szkoły, Hippelschule, między Volksdeutschów, ale tutaj z kolei od obywateli którejś tam kategorii okazują się lepsi rodowici Niemcy, którzy siedzą w osobnych ławkach – w końcu tworzą właściwy naród panów i muszą dbać o czystość rasy. To ta podwójność, która uświadamia, że w zależności od sytuacji można być panem lub sługą. Tożsamość okazuje się względna.

W nowej szkole chłopak opornie uczy się „Heil Hitler” (II, 119), Powalisz wszakże komentuje szyderczo: „Pewnie dziś jesteś trochę więcej Niemcem niż wczoraj” (II, 130). Jako „obywatel trzeciej kategorii do odwołania” musi chodzić na zbiórki Hitlerjugend – ale czuje się odpowiedzialny za zęby wybijane przechodniom przez

młodych hitlerowców. Dodajmy do tego rolę księdza Godka uczącego chłopca języka niemieckiego z gdańskiego elementarza i języka polskiego z *Krzyżaków*. Podobnie wuj Poszwa będzie karmił chłopca na wsi niemieckimi bułkami, ale polskim słowem. Tak ujawnia się ta podwójność, która upewnia, że wewnątrz można być lepszym niż na zewnątrz.

Zmienia się repertuar - nie tylko piosenek - gdy wkrótce potem narrator będzie śpiewał z Kolą Terentiewem. W Trzęmiętówku zastaje „wędrowne hrabstwo” nie na swoich włościach, a nawiedzający je Lonia nie może zrozumieć, że wszyscy tu „panowie”... demokratycznie. Teraz bycie panem okazuje się podejrzane. Odczuje to nawet wtedy, gdy do szkoły (gdzie brak wyposażenia) przyniesie z domu krzesło-tron, lepszy gość... Seria z automatu uczy też bohatera, by nie mówił po niemiecku „ja” zamiast polskiego „tak”. W ten sposób rzeczywistość udowadnia, że co kiedyś było na górze, obsuwa się na dno, a co było na dnie, wędruje w górę. Świat ulega nieustannym przemianom i wczorajsze konieczności stają się dzisiejszymi niemożnościami, wczorajsze nakazy - dzisiejszymi zakazami, i odwrotnie. Hierarchie społeczne i narodowe ulegają przetasowaniom, a tożsamość w tym kontekście nie znajduje oparcia.

W czasie wojny bohater należy oficjalnie do Hitlerjugend, zmuszony jest uczestniczyć w parawojkowym drylu i kopać umocnienia w Cierpicach pod Toruniem: uwolni go od tego sprowokowana kontuzja, która co prawda budzi pewne podejrzenia, ale ostatecznie fakt zostaje zaakceptowany. A jednocześnie rodzi się pomysł (II, 124) tajnego przygotowania do „powstania”, pożał się Boże. Po wywiezieniu Grudziny „ja jestem dowódcą” - oświadcza dumnie narrator (II, 188), mając nadzieję, że jako dyktator (sic!) powstania może będzie więcej wart dla małej Melechówny. Ale zamiast powstania w końcu następuje zamach na ojca małej Drysi, wy tłumaczenie zaś dla Niemców brzmi - że to był zamach na karaluchy! „Powstanie” przyjmuje farsowy charakter, podobnie jak mity ciotki. Po wojnie bohater z poznanymi wcześniej Konradem i Dzichem pracują znowu na kolei, zawierają braterstwo krwi, no i wiąże ich popęd do robienia czegoś wielkiego. Wystąpią więc jako (tajna) samozwańcza Polska Armia Uzbrojona i mało brakuje, by wpakowali się w wielkie kłopoty wynikające ze współzawodnictwa z nową władzą i nowymi stróżami bezpieczeństwa. Jednocześnie „Jerzuś” bezmyślnie niemal sięgnie po ofertę wyjazdu ze strony nowej organizacji - ZWM - nie bardzo nawet chyba wiedząc, co znaczy ten skrót; potem zaś będzie musiał już skorzystać z jej ochrony i zapisać się do niej. Nawiasem mówiąc, spotka tam jako aktywistę znanego sobie Huberta, wcześniej aktywnego działacza Hitlerjugend.

W jego życiu zmieszczą się obok siebie postawy najbardziej od siebie odległe, przynależności skrajne. Tyle, że intencje tych zakładających bohaterstwo, czyli wysiłek, pozostaną tajne, a jawnie ześlizną się w farsę; te zaś ułatwiające życie, jawne, odsłonią swoją ukrytą stronę – i pozostawią zawsze pewien cień. A jednocześnie w każdym z tych jawnych przedsięwzięć narrator będzie elementem niepewnym: w Hitlerjugend, bo w folksdojczostwie sami Niemcy widzą „kolossaler Schwindel” i w ZWM, bo ten „woluntarysta nie płacący składek” nie tylko nie przyzna się do folksdojczostwa, ale jeszcze będzie współpracownikiem wroga klasowego i – będzie brał lekcje tańca u reakcjonisty. Pasuje więc wszędzie – lecz nigdzie nie będzie „swój”.

Młody człowiek, oczywiście, próbuje znaleźć swoje miejsce. Cóż jednak znaczy stwierdzenie: „Nauka wymaga zakorzenienia, a ja jestem zakorzeniony” (II, 121)? Może znaczyć tylko: ma wiele korzeni. Ale poczucie, że dom dziadków i własny to domy wariatów, że domem wariatów jest też dlań cały świat, wskazuje zarazem, że nigdzie nie jest bohater zakorzeniony wystarczająco, bez sprzeciwów (II, 250). Kiedy na Święto Zmarłych odwiedzi ciocię Peretiatko i otrzyma od niej nową „relikwię”, zegarek po Pawle, poczuje, że jest nie tylko pomorski... i w Warszawie też może się czuć jak u siebie (tym bardziej, że „cały naród buduje swoją stolicę” – pojawi się też ten motyw propagandowy). „JESTEM Z CAŁEJ POLSKI” (III, 192) – powiada wreszcie. Poszerza samoświadomość. Ale kiedy się denerwuje, to, jak przyznaje, pryska lakier i wyłania się z niego „zakuta pomorska pyra” (III, 205).

„To kto my właściwie jesteśmy? Chłoptwem czy szlachtą?” (III, 206) – pyta kiedyś niegramatycznie domagając się jasnego określenia. Ojciec, jak zwykle, zapewnia, że szlachectwo odebrali Prusacy, ale co kto ma w środku, tego nie odbiorą. Dorastający wnuk jednak „w środku”, w mitycznej skrzyni Polonusa, odkrywa w końcu wielkie NIC (III, 396): nie ma żadnych papierów, żadnych świadectw szlachectwa. To kompletne bankructwo mitu jednoznaczności. Zresztą jeszcze przed wojną słusznie zauważył: „Znamy swoje miejsce. Mamy tę dobrą, przeciętną lokatę” (I, 60). W czasie wojny przypomina, że wcześniej: „Należeliśmy do tej dobrej, średniej warstwy” (II, 197). Jeśli zaś mniej mu towarzyszy niepewności co do tego, czy jest Polakiem czy Niemcem, to jednak i tu zdecyduje się bronić swego stanu pośredniego – Pomorzaka – ujawniając to w języku, w „krzyżackim gęganiu”, w „ja” jako „tak”. Jako Pomorzaka zresztą – Polaka, ale ongiś poddanego pruskiego – broni też Dziadka Ażurowego. I to wydaje się być właściwa odpowiedź: tożsamość narratora jest tożsamością „pośrodku”, „między”, zakotwi-

czoną wszędzie i nigdzie, jest tożsamością rozdwojoną. Nawiasem mówiąc, może to ta tożsamość pozwala mu współczuć więźniom-jeńcom wojennym (II, 129) i Żydom, a potem podać jednak ciepły kubek niemieckiemu żołnierzowi, skazańcowi, jak sądzi (rzeczywiście, niedługo potem będzie mijał na ulicy jego zamarzniętego trupa).

Może jednak do tego warto dodać jeszcze jedną odpowiedź.

Po wojnie przypadkowo (z powieściowymi zszywkami swego ojca w ręce, a bez znajomości *Zemsty* Fredry) trafia narrator do gimnazjum – i zaczyna się uczyć. Na korytarzu Szkoły Rolniczej spotyka Panienkę i hrabiego Janusza i pierwszy raz zostaje wtedy nazwany „panem”. Tak okrężnie dochodzi do nobilitacji, uszlachcenia. W nowym sensie, rzecz jasna. Potem zgłasza się w Fabryce Maszyn szukając zajęcia: niewiele umie (pociągają go wynalazki w typie *perpetuum mobile*), ale inżynier Bobiatyński przyjmuje go jako kreślarza. Następnie bez matury dostaje się do Wieczorowej Szkoły Inżynierskiej. Chodzi przy tym także na lekcje tańca towarzyskiego. „Tak szybko idę w górę i do tego za darmo (...)” – konstatuje, pamiętając, ile wysiłku miała kosztować ojca jego edukacja. Wie, że prześciga ojca. „Lepsza sorta” – „to są hierarchie mojego ojca, ale już nie moje” (III, 244). Po aresztowaniu Bobiatyńskiego jednak i Jerzy traci pracę. Ale nowe zajęcie w dekoratorni pozwala mu wejść w nowe środowisko: artystyczne. Na spotkaniach u Joanny pojawia się literatura: Jesienin i Achmatowa, *Dziady*, Hłasko i Biblia. Na firmamencie politycznym błyszczy wtedy nowa gwiazda – Gomułka. Śmierć ojca kończy pewną epokę... Nie przedstawi mu już Izy wywodzącej się z inteligenckiej warszawskiej rodziny (której brat po dwóch latach więzienia wrócił do domu). A Joanna wyrokuje o narratorze: „On musi pisać”. W ten sposób fikcyjny element życia tej rodziny znajdzie nareszcie dla siebie właściwe pole. Interesujące jednak, jak bardzo fikcja owa chce pokazywać swą autentyczność, raz jeszcze pieczętując rozdwojenie tożsamości.

¹ M. Eliade, *Mit wiecznego powrotu*. Przeł. K. Kocjan. Warszawa 1988.

² M. Bachtin, *Twórczość Franciszka Rabelais’go a kultura ludowa średniowiecza i renesansu*. Przeł. A. A. Goreniewie. Kraków 1975, s. 7.

³ Korzystam tu z wydań: J. Sulima-Kamiński, *Most Królowej Jadwigi*. Bydgoszcz 1988, t.I, Bydgoszcz 1986, t. II, Bydgoszcz 1988, t. III. Cytaty zaznaczam w tekście głównym w nawiasach wprowadzając numer tomu i strony.

⁴ F. Nietzsche, *Tako rzecze Zaratustra. Książka dla wszystkich i dla nikogo*. Przeł. Waclaw Berent. Warszawa 1907, s. 9.